

Srebrny przykurzony ford sunął dzielnie zakorkowanymi jak zawsze ulicami stolicy. Mimo że było późne popołudnie, przejazd ulicą Żwirki i Wigury oraz Armii Ludowej zajął im zdecydowanie więcej czasu, niż pierwotnie zakładali. Zniecierpliwieni przecięli skrzyżowanie z ulicą Czerniakowską i Mostem Łazienkowskim naszpikowanym latarniami niczym kolcami jeź i dotarli na drugi brzeg Warszawy.

— Ledwo zdążyłem na samolot — rzucił mężczyzna siedzący na fotelu pasażera.

Ubrany elegancko, świeżo ogolony i starannie uczesany znacznie różnił się od kierowcy, który większość zmęczonej twarzy starał się zamaskować przeciwsłonecznymi okularami. Brodę okalał kilkuniedniowy, gęsty zarost, a niedbale poczochrane włosy nadawały mu niezbyt atrakcyjnego wyglądu.

— We Wrocławiu leje jak z cebra i opóźnili lot. Gdyby nie to, w życiu bym się nie wyrobił.

— Za dużo pracy w jednostce?

— Taa... — odparł posępnie. — Mam ochotę rzucić to w jasną cholere. Nie mogę się odnaleźć po tym wszystkim...

— Jak siostra? — zmienił nagle temat kierowca.

Pasażer zmierzył go badawczo wzrokiem. Lekki uśmiech zniknął z jego twarzy w jednej sekundzie.

— Bez zmian — ciężko wypuścił powietrze wraz ze słowami. — Matka siedzi przy niej non stop i się modli. Lekarze bezradnie rozkładają ręce. Ostatnio ruszyła palcami, a raz nawet jakby wydała jakiś głos, ale poza tym nie widać żadnej poprawy...

— Najważniejsze, że nie jest gorzej...

— Marne to pocieszenie, ale jednak... Mówią, że ma silny organizm. Wszystkie narządy funkcjonują sprawnie, dlatego lekarze są zupełnie rozbici. Wygląda jakby po prostu zasnęła i nie mogła się obudzić.

— Śpiąca królewna... Czeka na księcia? — Obaj uśmiechnęli się szeroko. — A młody doszedł do siebie?

— Tak, jakoś się pozbierał. Jednak z tamtej traumatycznej sytuacji niewiele już pamięta. Gorzej z dziadkiem. Z nim w ogóle nie da się porozumieć. Wiele razy próbowałem go pytać, co tam się wydarzyło na tej górze, ale odpowiada chaotycznie, nieskładnie i bez najmniejszego sensu. Czasem się zatnie i potrafi milczeć przez kilka dni. Ojciec w trosce o jego zdrowie zabronił mi już z nim rozmawiać na ten temat.

— A on sam jak to znosi?

— To twardy facet. Tłumi wszystko w sobie. Na zewnątrz udaje, że nic się nie stało i stara się jakoś trzymać nas wszystkich w kupie...

Zamilkli na chwilę. Właśnie przejeżdżali obrzeżami Pragi. Z daleka widać było charakterystyczne kamienice z czerwonej cegły, skrywające się gdzieś za gałęziami niezazielenionych jeszcze drzew. Widok krajobrazu nie wybudzonego jeszcze do końca z zimowego snu napawał ich ponurym nastrojem.

— Są jakieś wieści o Januszu? — przerwał krótkie milczenie pasażer.

— Bez zmian. Policja uznała go za zaginionego, ale nie mają praktycznie ani jednego śladu. Osoby, które mogły widzieć go jako ostatnie, to twoje rodzeństwo. Dlatego liczę trochę na was. Póki co jednak nie mamy nic. Przepadł jak kamień w wodę. Ostatnio spotkałem się z Ewą, jego byłą żoną, która chciała wyprawić mu pogrzeb.

— Bez ciała?

— Tak. Chciała pochować pustą trumnę.

— Dobrze, że wybiłeś jej to z głowy — stwierdził pasażer, zerkając przez szybę na umykającą po prawej stronie Pragę. — Na pewno żyje...

— Sam już nie wiem, co jest dobre. Powoli tracę wiarę w odnalezienie kogokolwiek. Piekarski zaginął, Kruszewski zniknął, Rogulski tak samo. Nie ma po nich nawet najmniejszego śladu...

— Ślad za to zostawia Długowłosa. Jak tylko go dopadniemy, wszystko nabierze właściwego tempa. Zobaczysz...

Teraz przed nimi rozpościerała się już długa prosta. Powoli zostawiali Warszawę za plecami. Wkrótce pojawił się znak informujący o dotarciu do miejscowości Ząbki, gdzie dopuszczalna prędkość czterdziestu kilometrów na godzinę została określona okrągłym, przybrudzonym znakiem. Prowadzący samochód jednak nie odniósł się do zalecenia, zwalniając tylko nieznacznie.

— Dokąd jedziemy? — zapytał zniecierpliwiony pasażer.

— Wołomin — posępnie odparł kierowca.

Kilka kolejnych kilometrów jechali w całkowitym milczeniu. Minęli kolejną miejscowość, Zielonkę, i teraz przed nimi był już tylko cel ich podróży.

— Co mamy w tym Wołominie? — zapytał wreszcie pasażer.

Kierowca odchylił się na moment na tylnie siedzenie, nie spuszczając wzroku z trasy, po czym po omacku odnalazł ciekawą teczkę z drobnymi napisami. Podał ją w milczeniu pasażerowi. Ten od razu przystąpił do lektury.

— Ferdynand Bartosz... — wycedził. — Lat 58, wdowiec, zamieszkały w Wołominie, stróż w prywatnej firmie. Zmarł w wyniku ran zadanych przez agresywne zwierzę, prawdopodobnie bezpańskiego, dzdiczalego psa. Data zgonu to 11 marca... — zamyślił się i przerzucił kilka kartek. Wyszukał coś, dokładnie przeszukując gęsto, odręcznie napisany tekst, sunąc palcem wskazującym po liniijkach — ... *atak dzikiego zwierzęcia nastąpił w nocy z 8 na 9 marca. Ferdynand Bartosz podczas obchodu placu firmy, w której był zatrudniony, został zaatakowany od tyłu przez psa nieznannej rasy. Zwierzę rzuciło się na jego plecy i powaliło go na ziemię. Wgryzło się w prawy bark Ferdynanda Bartosza, po czym pazurami oraz kłami spowodowało liczne rany na plecach poszkodowanego...*

— Przeżył... — wtrącił kierowca. — Zmarł dopiero po dwóch dniach. Zerknij sobie na opinię lekarską.

Pasażer przewertował kilka kolejnych kartek i dalej czytał na głos:

— *Jako przyczynę śmierci uznaje się silne obrażenia, jakie denat odniósł w wyniku ataku dzikiego zwierzęcia. Na prawym barku widnieje silny ubytek tkanki mięśniowej, a na plecach głębokie rany szarpane i cięte. Znaczny ubytek krwi oraz wychłodzenie organizmu doprowadziły do osłabienia funkcji życiowych i szoku pourazowego. Ponadto wiekowy organizm nie był w stanie skutecznie walczyć z toksyczną substancją, która dostała się do organizmu pacjenta prawdopodobnie wraz ze śliną dzikiego zwierzęcia...* — zamyślił się chwilę. Wyjął z kieszeni mały notesik i przeglądał go dość wnikliwie. — To na pewno sprawka Długowłosego. Jak byk... 8 marca była pełnia... — mówiąc to, sięgnął do plecaka i wydobyl z niego piękny, ręcznie zdobiony pistolet.

— Zaskakuje mnie twoje przekonanie i uparta wiara w to, co robisz. Jedziemy już kolejny raz do ofiary, która nie żyje, a ty jeszcze chcesz ją dodatkowo zastrzelić!

— Ile potrzebujesz dowodów, żeby wreszcie uwierzyć w to, co mówię? — zbulwersował się pasażer. — Atak dzikiego zwierzęcia w trakcie pełni. Mam ci przypomnieć? Proszę bardzo... w grudniu Długowłosey został ugryziony... 9 stycznia, Łódź: śmierć taksówkarza... Policja bała się podać ten fakt do opinii publicznej, bo w taksówce dosłownie rozszarpano kierowcę na strzępy. Zbrodnia stulecia w mieście. 7 lutego, Warszawa: nieznane dzikie zwierzę zaatakowało prostytutkę na ulicy Balladyny. Śmierć na miejscu. 8 marca, Wołomin... Ferdynand Bartosz umiera od zagryzienia... Wiesz, że mogę podać ci dokładny dzień śmierci kolejnej ofiary? To będzie gdzieś w okolicach 6 kwietnia. Skąd takie przypuszczenia? Bo akurat

przypadkiem każdy z tych dni, a konkretniej każda z tych nocy, była z pełnią księżyca. A podczas pełni u wilkołaków objawia się naturalny zew zabijania, którego efektem jest zakażenie ofiary i przeobrażenie jej w innego wilkołaka. Dopóki ten jest zamknięty w ciemnej lodówce, jesteśmy w stanie go ubić, bo jeżeli czmychnie gdzieś w Polskę, to będziemy za nim gonić tak jak teraz za Długowłosym. Jedynie po śladach jego ofiar...

— Ty naprawdę uważasz tych martwych ludzi za wilkołaki?

— Słuchaj, Kamil, do dzisiaj nie wyjaśniłeś mi, jak w Sobótce uciekł ci Długowłoso... Coś tam majaczyłeś o psach i tym podobnych... Chyba nie sądzisz, że jest on zawziętym członkiem związku kynologicznego¹ i hoduje sobie w międzyczasie psy?

— Byłem nieźle przemęczony, a adrenalina buzowała mi w żyłach. Mogłem widzieć różne rzeczy, w które ty niebezpiecznie szybko zacząłeś wierzyć.

— Usilnie starasz się odrzucić najbardziej racjonalny argument wyjaśniający te wszystkie okoliczności...

— Problem tkwi w tym, że ten argument nie jest racjonalny.

— I tylko dlatego uważasz go za niemożliwy do przyjęcia? Ile innych irracjonalnych spraw na tym świecie funkcjonuje i mają się całkiem dobrze?...

— To nie jest tak, że nie wierzę... — kierowca postarał się załagodzić ożywioną dyskusję. — Po prostu brzmi to wszystko jak jakaś bajka. Nie mogę pójść do szefa i poprosić o wszczęcie oficjalnego śledztwa, bo jak powiem mu, że głównym podejrzanym jest koleś zmieniający się w wilkołaka, to ten skieruje mnie na urlop albo badania psychiatryczne. Nie mogę z nikim o tym pogadać...

— Ze mną możesz.

— Ty jesteś na to wszystko tak bardzo nakręcony, że ja po prostu za tobą nie nadążam.

— Tak jak ci obiecałem, jak dopadniemy Długowłosego, to rozwinie się sprawa wszystkich, którzy brali udział w zdarzeniach na Ślęży i Raduni. Ty odszukasz tych, którzy zaginęli albo się ukrywają, a ja odzyskam siostrę...

— Naprawdę tak bardzo w to wierzysz?

— Tak... — rzucił z dużą dozą pewności siebie w głosie. — Nic innego mi nie pozostało.

¹ Kynologia – nauka o psach (przyp. autora).

Do Wołomina wjechali w milczeniu. Miasto wchodzące w skład aglomeracji warszawskiej było typowym przedsiönkiem stolicy. Nad niskimi kamienicami wystrzelały w górę wyższe budynki mieszkalne i wieże nadawcze. Obok wysokich bloków sterczał krzyż umieszczony na ostrej wieży kościoła, jakby czuwając nad bezpieczeństwem całej okolicy. Ogólnie można by je określić jako miniaturę Warszawy, aczkolwiek mniej zatłoczone ulice i chodniki nadawały mu bardziej kameralny i sympatyczny wygląd.

Szybko zjechali z drogi prowadzącej przez miasto i skierowali się do północnej części Wołomina. Przejechali linię kolejową łączącą Warszawę z Białymstokiem i po kilku skrzyżowaniach wjechali na duży, asfaltowy parking okalający Szpital Powiatowy w Wołominie. Budynek szpitala w rzucie górnym przypominał odwróconą literę L, a równomierna, monolityczna bryła dzięki równym rzędom okienek i balkonów przypominała podziurawiony kawałek sera. Z dachu wystawały dziesiątki większych lub mniejszych anten, a porastająca wokół zieleń sięgała maksymalnie drugiego piętra, przez co sam budynek wyglądał na większy niż w rzeczywistości.

W gęstym labiryncie ustawionych samochodów znaleźli wolne miejsce i zaparkowali auto. Przedarli się pomiędzy pojazdami w kierunku głównego wejścia budynku, do którego prowadziły szerokie schody i kilka par oszklonych drzwi. Wewnątrz panował chłód, a ludzie niczym mrówki w mrowisku szybko poruszali się w przeróżnych kierunkach, nierzadko ze sobą kolidując. Przebrnęli przez ten kłopot i zatrzymali się przy tablicy informacyjnej.

— Czego szukamy? — zapytał zniecierpliwiony pasażer.

— Zakład patomorfologii... — wycedził kierowca, nie spuszczać wzroku z seledynowej tablicy. — Jest! — rzucił nagle entuzjastycznie. — Pokój 206... Dziwne, zawsze tego typu pomieszczenia mieściły się w piwnicach.

— Chodźmy do windy! — pasażer przytomnie zauważył otwierające się niedaleko rozsuwane drzwi windy.

Szybkim krokiem dotarli do nich w ostatniej chwili. Zdążyli jednak wskoczyć i wybrać poziom oznaczony odpowiednim numerem. Po chwili szli już korytarzem drugiego piętra i szukali pokoju 206. Gdy go znaleźli, kierowca zaczesał ręką rozczochrane włosy i wszedł odważnie do pomieszczenia.

— Dzień dobry. Szukam doktora Skowrońskiego... — zagadnął siedzących tam mężczyzn.

— To ja... — po dłuższej chwili odezwał się jeden z nich.

Był wysoki, nieźle zbudowany i w niczym nie przypominał stereotypowego doktora z siwizną i grubymi okularami. — O co chodzi?

— Nazywam się Kamil Kozerski i jestem z policji. Dzwoniłem wczoraj do pana w sprawie ciała Ferdynanda Bartosza.

— A tak, przypominam sobie... Pan komisarz... — podszedł już raźniej i wyciągnął rękę na przywitanie.

Spostrzegł jednak, że ma na ręku lateksową rękawicę, więc szybkim ruchem ściągnął ją z charakterystycznym chłapnięciem.

— To mój partner... Michał Berg — wskazał na kompana komisarz.

Równie serdecznie się przywitali, a doktor Skowroński przyjrzał im się uważnie.

— Myślałem, że sprawa śmierci Bartosza została już dawno zamknięta. Byli tu policjanci z Wołomina i stwierdzili, że ciało można oddać rodzinie.

— Nadal nie ustalono, co go zaatakowało. W tej sprawie śledztwo prowadzi Komenda Stołeczna. To jakieś dzikie zwierzę, które może ponownie uderzyć, dlatego nie możemy przeoczyć nawet najdrobniejszych szczegółów.

— A co z rodziną? — zapytał Michał Berg. — Nie chcą ciała?

— Z tym mamy niemały problem. Pan Bartosz był wdowcem. Nie posiadał najbliższej rodziny, która wyrażałaby chęć jego pochówku. Dlatego najprawdopodobniej zostanie pochowany na cmentarzu komunalnym na koszt państwa, ale z tym związana jest spora biurokracja. Może to potrwać i miesiąc. Gdyby nie to, już dawno spoczywałby pod ziemią i nie moglibyście nic już zrobić.

— Możemy go teraz zobaczyć? — wtrącił komisarz. — Spieszmy nam się troszeczkę...

— Oczywiście, ale w tym celu musimy przejść do prosektorium. Zapraszam za mną.

Opuścili niewielki pokoik, w którym pracowali lekarze i wyszli z powrotem na korytarz. Przeszli na jego koniec, gdzie znajdowały się drzwi z napisem „Prosektorium”. Doktor Skowroński wyjął z kieszeni pęk kluczy i szybko dopasował odpowiedni. Przekręcił nim dwa razy, aż zamek z ciężkim chrobotem ustąpił. Pociągnął za metalową klamkę drzwi, a zza nich uderzył powiew chłodnego powietrza. Doktor Skowroński wszedł pierwszy i nacisnął włącznik światła. Długie świetlówki zamigotały i jedna po drugiej zajaśniały pełnym światłem.

Ich oczom ukazał się skromny pokoik ze stolikiem i krzesłem, a w tle metalowa szafka zamknięta na małą kłódkę. Tuż obok niej znajdowały się kolejne drzwi, które

gospodarz obiektu otworzył i wykonał dokładnie te same czynności, co przy wejściu do tamtego pokoiku. Tak znaleźli się we właściwej sali prosektorium. Pomieszczenie było jeszcze mniejsze, a na przeciwległej ścianie ustawionych obok siebie stało kilka metalowych pudeł na kółkach o wielkości zbliżonej do gabarytów człowieka. Szybko zrozumieli, jaką funkcję pełniły.

— Nie mamy zbyt okazałego prosektorium ze względu na bardzo ograniczone fundusze. Ordynator zapomniał o nas już dawno... — Doktor Skowroński starał się wytłumaczyć z dość ubogiego wyposażenia pomieszczenia.

— Najważniejszy sprzęt jest... — Komisarz skinął na ustawione lodówki.

— W której jest denat? — zapytał Berg.

Doktor podszedł do jednej z nich i odczytał zapisane nazwisko. Przeszedł do drugiej i triumfalnie uśmiechnął się do gości. Wyczekał jeszcze moment, starając się spotęgować napięcie i z wyraźnym rozbawieniem wyczytać z ich oczu strach. Nie dali się jednak zbić z tropu i zamiast lęku okazali wyraźne znudzenie jednostronną zabawą.

— Ferdynand Bartosz... — przerwał coraz bardziej niezręczną ciszę doktor Skowroński, odczytując nazwisko zapisane na dużej karcie. — Ostrzegam, że może to być makabryczny widok...

Wymijająco nie udzielili odpowiedzi. Doktor otworzył staroświeckie zamknięcie lodówki i wysunął niczym szufladę długą podstawę, na której znajdowały się zwłoki zmarłego dozorca. Komisarz i Michał Berg podeszli bliżej i przyjrzeni się nieżyjącemu mężczyźnie. Był blady jak ściana. Jego siwe, średniej długości włosy sterczały na różne strony w zupełnym nieładzie. Zamknięte w śmiertelnym śnie oczy jakby głębiej się zapadły, a skóra zawisała bezwładnie na kościach policzkowych. Prawy bark był dosłownie rozszarpany. Widać było białutkie jak kartka papieru kości wystające z brunatnokrwistej rany. Krew widać zakrzepła już dawno, a z rany dochodził smród rozkładu, który uderzył ich po nozdrzach. Zasłonili nosy rękoma.

— Plecy wyglądają jeszcze gorzej. Jeżeli będziecie chcieli je obejrzeć, to musimy go przekręcić... — szybko wyjaśnił doktor Skowroński. — Tymczasem ja podejść do sąsiedniego pomieszczenia po dokumenty, które muszą panowie wypełnić.

— Nie ma problemu — szybko rzucił Michał Berg. — Przejdę z panem i dokonamy wszelkich formalności, a mój kolega dokona oględzin. Oczywiście możemy zrobić kilka zdjęć? — spojrzał wymownie na komisarza i podał mu zawieszony na szyi pokrowiec aparatu fotograficznego.

Komisarz stał lekko zdziwiony i czekał na reakcję lekarza. Zazwyczaj to on wyprowadzał gospodarza obiektu i zadawał dziesiątki bzdurnych i niepotrzebnych pytań. Berg zostawał tymczasem w prosektorium i dokonywał tych swoich dziwnych obrzędów, w które tak bardzo wierzył. Wziął wolno aparat i zacisnął mocno w garści.

— Oczywiście, nie ma problemu — odparł doktor.

— Dziękuję... Szczerze powiedziawszy, ten zapach jest nie do wytrzymania. Nie wiem, ile jeszcze tu bym wytrzymał.

Wyszli wolno z pomieszczenia. Ich rozmowę było jednak słyhać dość wyraźnie. Ściany nie były więc zbyt grube. Komisarz Kozerski spojrział jeszcze raz na denata. Ot... zwykły zmarły człowiek, nic szczególnego. W swojej pracy widywał takich nie raz. Nic specjalnego nie wyróżniało go spośród pozostałych, dlatego więc miałby dokonywać na nim jakichś głupich czynności, o które tak zabiegał Berg? W gruncie rzeczy nie kojarzyło mu się to z niczym innym, jak z bezczeszczeniem zwłok.

Odszedł na chwilę na bok, bo i jemu woń rozkładającego się ciała zaczynała przeszkadzać. Otworzył ciemny skórzany futerał i włożył tam dłoń. Tak jak się spodziewał, nie było w nim aparatu fotograficznego. W dłoni zaś znalazł się wiekowy, srebrny rewolwer z charakterystyczną długą lufą. Drewniana rękojeść była pięknie zdobiona i przedstawiała wyryte, dziwne stwory. Znał ten rewolwer doskonale. Przypominał mu obrazy, które przez ostatnie miesiące starał się wymazać ze swojej pamięci. Pamiętał, jak strzelał z niego w Sobótce do jakiegoś dziwnego zwierzęcia, które przeraźliwie wyło. Berg uważał je za wilkołaka, jednak on za wszelką cenę starał się nie dopuścić do siebie takich myśli. Takie stwory istniały tylko w baśniach. Aby całkowicie zapomnieć tamtą historię, oddał pistolet Bergowi.

Wyciągnął jeszcze długą metalową rurkę z gwintowaną końcówką. Uśmiechnął się pod nosem. Berg widać porządnie zaopiekował się bronią i dorobił nawet do niej tłumik. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Dokręcił go z ciekawości. Pasował idealnie. Spojrzął na leżącego nieruchomo Bartosza i zadał sobie pytanie, po co miałby teraz do niego strzelać? Berg zdecydowanie przesadzał i należało skończyć te chore praktyki. Jeszcze posądzą ich o nieposzanowanie zwłok lub gorzej... jakiś rodzaj nekrofilii. Jednym ruchem przełamał broń na pół i uzyskał dostęp do bębna z amunicją. W każdej z siedmiu komór znajdował się srebrny nabój. Zakręcił bębniem, który wydał charakterystyczny terkot, po czym zamknął go.

Dopiero teraz usłyszał dziwny odgłos, jakby trzask łamanych gałęzi. Z początku nie zwracał na dźwięk uwagi, myślał bowiem, że pochodzi z zewnątrz, z miejsca gdzie

Michał Berg dyskutował z doktorem Skowrońskim. Spojrzał w tamtą stronę, jednak nie zidentyfikował tam źródła żadnego dźwięku. Zerknął na Ferdynanda Bartosza i zamarł w bezruchu. Ciało nie było w wysuniętej szufladzie. Jeszcze przed chwilą tam leżał... a teraz zwyczajnie go tam nie było.

— To jakieś żarty... — wyszeptał, rozglądając się dokoła.

Przecież nie wstał i sobie nie wyszedł!

Podszedł ostrożnie do otwartej lodówki i zerknął głębiej w zakrytą część. W metalowej szufladzie dostrzegł tylko niewielkie ślady krwi. Kilka kropel zauważył na podłodze. Układały się w charakterystyczny szlak, znikający gdzieś za stojącymi w rzędzie lodówkami. Serce zabiło mu szybciej, a włosy na rękach zjeżyły ze strachu. Takich sytuacji jeszcze w życiu nie miał. Zastanowił się tylko, czy to prawda, czy może jeszcze się dzisiaj nie obudził. Wszystko jednak wskazywało na to, że to nie jest sen. Powolutku, krok po kroku przesunął się za plamkami krwi w stronę rogu pomieszczenia. Widok, jaki tam zastał, nie śnił mu się w najgorszych koszmarach. W rogu pomieszczenia, pomiędzy ścianą a ostatnią z lodówek siedział skulony i trzęsący się Ferdynand Bartosz. Komisarz zdębiał w pierwszej chwili. Czytał gdzieś kiedyś o cudownych powrotach do życia ze śmierci klinicznej, ale u tego faceta kilkanaście dni temu stwierdzono zgon. Leżał w lodówce i czuć było od niego zapach rozkładającego się ciała. Tymczasem siedział teraz nagi, wystraszony i trzęsący się z zimna.

— Panie Ferdynandzie... — wyciągnął rękę, a zapytany uniósł opuszczoną głowę do góry.

W jednej chwili Komisarz Kozerski zdał sobie sprawę, że nie ma do czynienia z żywym człowiekiem. Wpatrujące się w niego źrenice miały barwę krwistoczerwoną, nos nienaturalnie się zmarszczył, a szczęka jakby nie mieściła się już w ustach. Warknął głosem tak zdartym, jakby dopiero co przechodził mutację, i szybkim ruchem ruszył w kierunku Komisarza. Ruch ten był o tyle komiczny, że przypominał bieg szympansa, kuśtykającego niezdarnie na czterech kończynach.

Komisarzowi jednak nie było do śmiechu. Odskoczył w bok i zahaczył o wysuniętą szufladę. Stracił równowagę i upadł, przeklinając w myślach. Dziwny stwór wydostał się już ze swojej kryjówki i silnym odbiciem doskoczył do Kozerskiego. Ten jednak obronił się silnym kopnięciem. Zdażył się podnieść, gdy szarżujący niczym tur napastnik przystąpił do ponownego ataku. Zadał ponowny cios, jednak tym razem na niewiele się to zdało. Obaj runęli na ziemię, wywracając stojące niedaleko szafki.

Ferdynand Bartosz doznawał jakiejś dziwnej metamorfozy. Z głowy człowieka zostały już tylko fragmenty. Teraz w jej miejscu zarysował się pysk dzikiego psa albo wilka. Kozerskiemu przez myśl przebiegały słowa Berga. Przyznał mu po cichu rację. To coś nie było normalne. Podobnie jak to, co widział w Sobótce.

Szybko przypomniał sobie o pistolecie. Jednak ten wypadł mu w trakcie szamotaniny i nie potrafił go zlokalizować. Rozpaczliwie rozglądał się po podłodze. Bestia napierała na niego coraz bardziej, rycząc i wyjąc na przemian. Zapierał się rękami, trzymając ją na dystans, tak by machające mu przed twarzą szpony nie sięgały celu. Próbował ją zrzucić jakimś nagłym podrywem, ale bestia była na tyle silna, że pewnie wcale tego nie odczuwała. Ręce mdlały mu z sekundy na sekundę. Szpony z tylnych kończyn wpijały mu się gdzieś w uda, powodując potworny ból.

— Trzymaj się! — usłyszał nagle znajomy głos przyjaciela, gdy zaczynał już tracić siły. Zerknął w stronę drzwi. Michał Berg błyskawicznie rzucił się w jego kierunku i podniósł z podłogi coś, co błysnęło w mdłym świetle żarówek. Rozległ się tępy odgłos wystrzału, a bestia zakwiliła z bólu. Nacisk zelżał, a po drugim wystrzale stwór opadł bezwładnie na Komisarza. Chciał się spod niego wydobyć, jednak ten zniknął jak kamfora. Pozostał po nim już tylko suchy popiół.

* * *

Wszędzie rozniosła się już wieść o tym, że do krainy Nawii wstąpił żywy, którego drużyna księcia Rybina niedawno pochwytiła. Upublicznienie tej wiadomości wywołało oburzenie w całej okolicy. Wszyscy doskonale wiedzieli, że zejście żywego do krainy umarłych grozi zaburzeniem równowagi pomiędzy Jawią i Nawią. Bramy Nawii zostały otwarte, więc znaleźć się mogło wielu śmiazków, którzy zechcieliby powrócić do świata, w którym przyszło im umrzeć. Z drugiej strony ciekawiło ich, cóż to za szalenciec i czego szuka w świecie zmarłych. Jak mówiło im przecucie, nie wróżyło to jednak nic dobrego. Wywoływało zaś coraz większe poruszenie i chęć publicznego osądu tajemniczego jegomościa, mimo że słynęli ze swojej gościnności, nawet dla wrogów.

Rybin zdawał sobie sprawę, że nie ma zbyt wiele czasu, aby przeprowadzić rozmowę z człowiekiem z Jawii. Tym bardziej że ten, odkąd został przywieziony przez dowódcę swojej przybocznej drużyny, Bezpryma, nie wypowiedział praktycznie ani jednego słowa. Denerwowało go kamienne milczenie przybysza, jednak odczuwał w

stosunku do niego pewien respekt i szacunek, chociaż nie miał pojęcia, skąd one się brały. Stąd szybko ukrocił zamiary torturowania więźnia. Jednocześnie przytłaczała go świadomość odczytanej przez kapłana Bożysława Księgi Welesa, która przedstawiała przybysza z Jawii w niezbyt korzystnym świetle. Przyglądał mu się więc nieufnie. Zarośnięty, siwawy i przygarbiony Pastuch w dziurawej opończy z szerokim kapturem zarzuconym na głowę nie wyglądał na kogoś niebezpiecznego. Tak samo uważał Bezprym, który również sędziwego starca otoczył dziwnym, bo nieoczekiwanym szacunkiem, wbrew oczekiwaniom społeczeństwa Redarów. Witowie nie raz dawali do zrozumienia Rybinowi, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest stracenie więźnia. Rozsądek księcia podzielał te uwagi. Cóż jednak, skoro serce podpowiadało inaczej. Służący mu zawsze dobrą radą Bożysław tym razem zniknął i nijak nie było można go odnaleźć. Dlatego ostatecznie Rybin zdecydował się na zwołanie wiecu w największej słowiańskiej świątyni — Radogoszczy, gdzie Rada Starszych plemienia wraz z kapłanami miała zadecydować o losie więźnia.

Tłum ożywił się, gdy przed świątynią pojawiła się długo oczekiwana kawalkada z kapłanami na czele. Najszlachetniejsi z nich, żercy i zwykli wołchowicze, szli z opuszczonymi głowami, niosąc pochodnie dymiące przeróżnymi kolorami i zapachami palonych ziół. Mamrotali przy tym jakieś bliżej nieznane modlitwy, jednak wszyscy pokornie i w zadumie opuścili głowy. Tuż za nimi konno jechał książę Rybin i dowódca jego drużyny, Bezprym. W dalszych rzędach zmierzali należący do Rady Starszych witowie i członkowie wysoko postawionych rodzin Redarów. Dopiero dalej pojawił się drabiniasty wóz, do którego przywiązano starszego człowieka, chwiejącego się na chyboczącym na nierównościach ziemi powozie. Otoczony był strażą przyboczną Rybina, co znacznie ostudziło zapały mieszkańców, chcących wyrazić swoje niezadowolenie poprzez rzucanie w niego wyzwiskami i drobnymi przedmiotami. Groźne spojrzenia i krzyki jeźdźców jak na razie wystarczały utrzymać w ryzach gawieź.

Gdy dotarli do stóp świątyni, kilku jeźdźców zeskoczyło ze swoich koni i szybko sprowadziło więźnia z wozu. Buczenie i okrzyki nasiliły się, jednak przyglądający się temu Rybin jednym ruchem ręki je uciszył.

— Dumny naród Redarów pomniał chyba o swej gościnności, z której słynie i której Swarozyc go uczył, jako i my nasze dziatwy uczymy... — zrobił chwilę przerwy. — Dumny naród Redarów nie stracił ni raz ni Niemca, ni zdradzieckiego Czrepieniana, ni Chyża, bez woli Rady Starszych plemienia swego. Dumny naród

Redarów nie myśli chyba, by sądy wydawać bez wysłuchania, co jeniec ma do swojej obrony i przed wolę Rady Starszych wychodzić? Chyba że Rybin, wasz księżę się myli? — ostatnie słowa prawie wykrzyczał.

Wszyscy zebrani spojrzeli na siebie wymownie i opuścili głowy w geście poddaństwa. Nikt nie odważył się przecież wystąpić przeciwko swojemu władcy nawet wtedy, kiedy ten uważał inaczej. Dwóch wojów poprowadziło Pastucha na schody świątyni. Uderzenia w barabany nabierały coraz szybszego tempa. Starzec grzecznie stopień za stopniem pomaszerował sam, tuż za idącymi z przodu kapłanami. Twarz miał ukrytą w kapturze, spod którego wystawały pukle długich, siwych włosów, a zmierzając po stopniach w górę świątyni, co chwilę podtrzymywał się rękoma o kamienne stopnie. Kapłani wreszcie zniknęli w udekorowanym otworze piramidy, przy której wybudowano drewniany podest. Wkrótce zniknął tam też i więzień, a za nim kilku ważniejszych wojów, witów oraz Bezprym z księciem Redarów. Przy wejściu stanęło kilku innych wojów. Okrągłymi tarczami i długimi włóczniami zabezpieczyli wejście. Jeden z kapłanów wyszedł jeszcze na podest i oschle rzucił w kierunku zebranych:

— Nim słońce na nieboskłonie swą wędrówkę zakończy, dumny naród Redarów pozna wolę Bogów, co z jeńcem począć należy. Czekać jeno stoi w spokoju i cierpliwości. Niech pochwalone będzie światło! — oznajmił kapłan, dając Radzie Starszych czas na podjęcie decyzji do zachodu słońca.

— Niech pochwalone będzie światło! — padła gromka odpowiedź tłumu.

Wejście do ciemnej świątyni ze słonecznego placu spowodowało chwilową ślepotę. Wkrótce jednak Pastuch zauważył, jak idący przed nim kapłani po lewej i po prawej stronie dotknęli ścian świątyni swoimi pochodniami. Tam w wyżłobionych kanalikach zapłonął nikły ogień, przesuwany się wąskim wężykiem po obu ścianach, dając przytłumione światło. Podążali cały czas w górę stromym korytarzem, który regularnie i nieustannie zakręcał w prawo. Po chwili znaleźli się w wysokiej komnacie, oświetlonej kilkoma pochodniami. Stały tu kolejne monumentalne rzeźby przedstawiające poszczególnych bogów. Powietrze było tu dość chłodne, jednak na tyle ciężkie, że trudno było złapać oddech. Wzdłuż jednej ze ścian, przy drewnianych ławach zgromadzili się członkowie Rady Starszych oraz księżę Rybin, natomiast z lewej strony stanęli kapłani, nie przestając szeptać jakichś niezrozumiałych modlitw. Wojowie ustawili Pastucha w samym środku komnaty. Z tego, co zauważył, z całej kawalkady tylko nielicznym udało się wejść do środka. Pozostała część musiała stanąć w korytarzach piramidy. Drzwi do komnaty zamknięto i zaryglowano od środka.

Rada Starszych usadowiła się na drewnianych ławach, w centrum usadzając swojego władcę i jego najmężniejszego woja. Stąd Rybin dojrzał modlących się kapłanów, a wśród nich Bożysława. Odetchnął z ulgą. Kapłani tymczasem żarliwie modlili się na stojąco, jakby nie zważając na wszystko dookoła. Pastuch stał nieco przygarbiony i po ruchu kaptura dało się zauważyć, że rozgląda się wnikliwie na wszystkie kierunki. Był bardzo spokojny. Zbijało to z kolei z tropu patrzących na niego Redarów, którzy moment sądu często kojarzyli ze szlochaniem i błaganiami o litość jeńca. Wreszcie księżę Rybin stanął i przemówił doniosłym głosem:

— Wiec ten dziś zwołałem, by Święta Rada Starszych plemienia Dumnych Redarów osądzić mi pomogła, co z jeńcem tu stojącym mam począć. Dzięki wam oddaję, wielmożni witowie, witeziowie i najszlachetniejsi kapłani plemienia Redarów, za przybycie na me zawołanie. Budziwoj, księżę Dołężan naszych zacnych przyjaciół, osobiście stawić się nie mógł, przeto wieści poprzez sokoła przysłał, że każdą naszą wolę podjętą na wiecu jako swoją uzna.

Po komnacie przebiegł odgłos aprobaty na słowa księcia, a on sam kontynuował:

— Jak wiado², jeniec nasz pochwycony przez Bezpryma i jego drużynę pod Dyminem, jako żyw człek pośród nas zmarłych został uznany. W krainie naszej Nawii li³ na dwojak znaleźć się godzi. Ginąc od miecza w walce acz od sądu żupana⁴, alboż zemrzeć od choroby i starości. Żyw przestąpi bramy Nawii i jako żyw zostanie, jeno wołchw i żerca jaki. Nam tu przystoi⁵ ninie⁶ powziąć, zali jest on tym, za kogo go poważamy i czy winien złamania harmonii Jawii i Nawii. Przeto najprzód światły Bożysław niech stanie i o klątwie Welesowej Księgi nam powie, by sąd nad tym Pastuchem po prawdzie się odbył.

Jeden z modlących się kapłanów, wysuszony niczym zapałka, o długich, śnieżnobiałych włosach ocknął się z tajemniczego letargu, spojrzął w kierunku zebranych i przygarbionego Pastucha, po czym wystąpił na środek komnaty. Mimo cały czas zamkniętych oczu, sprawnie przeszedł wokół więźnia i rzekł, jakby czytając z pamięci:

² Wiado — wiadomo (przyp. autora).

³ Li — jedynie (przyp. autora).

⁴ Żupan — naczelnik okręgu administracyjnego, dzisiejszy odpowiednik wojewody (przyp. autora).

⁵ Przystoi — należy (przyp. autora).

⁶ Ninie — teraz (przyp. autora).

— Gdym od Radogosta, Roda i Peruna naszego otrzymał znaki, strach mnie obleciał, jakbym basiora⁷ obaczył na leśnej polanie. Nie trwożyć jednak bogowie mi nakazali, acz natchnąć kniaziów i witów mądrością, by zawczas pochwycić żywego, co między umarłych swawolnie się chadza. Bóg Weles bowiem, jak Księga Prześwięta nam staje, bratu swemu gromowładnemu Perunowi po zdradzie na wieczność zemstę poprzysiął. Zaklęcia i czary w Księdze swej zawarł, by po wiekach spokoju śmiałek się znalazł, co wejdzie do Nawii bez życia oddania. Potężny to będzie czarownik, nie pachoł, by wojów za sobą tumany pociągnąć i w Jawii okrutne wojny prowadzić. Gdy z niebios Bogowie zbudzeni choasem do Jawii wyruszą porządki prowadzić, to wtenczas sam Weles z Nawii wyjść zdoła. I tak jak przy Świętym Dębie, gdy korzeń poweźmie, by pniem wnet zostać, a konar z niezgody przeciw mu wystąpi. To god⁸ nie przemienie, li drzazga z takiego drwa się ostanie.

— Zali jedno, alboż pachoł ten wielkim wołchwem ostaje? Juści! Bo mym okiem spozieram⁹ jakem stanął w świątyni i spojrzaj mu do Pastucha, niżli śmiałka jakiego. Zdałoby się go posłać na ścierniska do gadów, niżli gwarzyć¹⁰, jak bronić się przed jego czarami — zniecierpliwiał się jeden z witów. — Struchlały¹¹ on bowiem nazbyt i widać nie godzien w nas patrzeć.

Głowa ukryta w kapturze Pastucha, do którego pił wit obróciła się w stronę mówiącego.

— Alboż to wygląd złudnym być nie może, Jeremo z Wielkiej Łąki — zauważył Bożysław, odpowiadając witowi. — Zali to barwny motyl, co na niebie tańczy, gdy zadnieje¹², pierwiej obmierzłym robakiem jest, co w sitowiu bez noc się kryje? Takoz i sukno, jakim człek się zdobi, jego zamiarów nam nie zdradzi.

— Niechże więc zrzuci z siebie tę obmierzłą opończę i wejrzy nam w oczy jak przystoi! W oczy, jak się wejrzy, całą prawdę znać.

— Wszak¹³ zapomniał Jeremo, co ongiś¹⁴ nas dziady nauczali? W Nawii, gdy żyw ci na drodze stanie, nie spójrz mu w oczy, bo jawie¹⁵ porwie i jeno pył z ciebie ostanie.

⁷ Basior — samiec wilka (przyp. autora).

⁸ God — rok (przyp. autora).

⁹ Spozierać — spoglądać (przyp. autora).

¹⁰ Gwarzyć — rozmawiać poufnie (przyp. autora).

¹¹ Struchlały — przestraszony (przyp. autora).

¹² Zadnieje — wstanie dzień (przyp. autora).

¹³ Wszak — przecież (przyp. autora).

¹⁴ Ongiś — kiedyś (przyp. autora).

¹⁵ Jawia — dusza (przyp. autora).

Jeremo zamilkł na chwilę, jakby zmieszany swoją niewiedzą. Pośród członków Rady Starszych przebiegł nerwowy pomruk.

— Zatem od Was, Święta Rado Starszych plemienia Dumnych Radarów stoi, cóże z tym tu Pastuchem księżę Redar czynić winien. Pomnijcie jeno moje słowa od bogów przesłane, a wola wasza sprawiedliwą się okaże — Bożysław otworzył oczy i odszedł w kierunku skupionych kapłanów. Zapanowała cisza, którą zakłócały jedynie odgłosy modlących się wołchów.

— Skoro więc pewności nijakiej nie mamy, a dotąd jeno winy na starca spływają, czyż nie przystoi komu na obronę go powziąć? — zauważył jeden z członków Rady Starszych.

— Juści żyw on i Nawię nawiedził bez śmierci, przeto jeden ja widzę wyrok dla niego — ponownie odezwał się Jeremo. — I radzić nie ma nad czym tak ckliwie¹⁶.

— Jeremo li śmierć dla jeńca miarkuje. Gdy kto inak ostaje, niechże teraz powiada... — ogłosił Rybin.

Powstał jeden starzec z Rady, który widać już wiekowy był, bowiem podparł się o siedzącego obok woja.

— Ongiś mnogo kar śmierci Rada Starszych dawała, gdym z dziadami waszemi przy tej ławie zasiadał. Jeno zawdy¹⁷ nim mieczem głowę człeka ścinali, zawczas dali mu słowem do obrony sposobność. Rozważ dobrze, Rybinie, kaj¹⁸ chcesz śmiercią orzekać, przeto li to człek z Jawii, trza go w Jawii zasiekać. Jeremo rzecze odważnie jeno śmiercią dla niego? Acz, któż pierwy do Jawii pójdzie wykonać jego? Jam też staję w obronę, chociaż godów niemało. Niechże wreszcie coś powie, nim mu wyrok wydadzą.

Zgromadzeni okrzykiem uznania nagrodzili wypowiedź starca. Rybin zachował kamienną twarz, jednak w duchu ucieszył się, że znalazł się śmiałek, co to stanął w obronie tajemniczego więźnia. Sam jako najwyższy organ sądowy w plemienu nie mógł okazać swojej stronniczości, która dziwnie kierowała go w stronę nieznajomego. Powstał i przemówił:

— Jam go sam wziął na spytki, coż za jeden jest z niego, czego szuka w krainie jeno zmarłym pisanej. Acz sporzej z głazem, co to leży w leśnym runie schowany pierwej słowa zamienisz, niżli tu, z tym gałganem.

¹⁶ Ckliwe — przesadnie (przyp. autora).

¹⁷ Zawdy — zawsze (przyp. autora).

¹⁸ Kaj — jak (przyp. autora).

Wyszedł na środek komnaty i podszedł do chwiejącego się Pastucha. Spojrzał na niego przenikliwie.

— Ledwo chybiez się, człeku. Możeś spragnion? To gadaj...

Pastuch patrzył nieruchomo na Rybina przez chwilę, po czym przecząco pokręcił głową.

— Wyrok, jaki Ci grozi słyszysz, bo powiedziano. Ninie¹⁹ możesz się bronić, jeśliś niesprawiedliwi. Wiedz, że szansa to twoja, byś swe imię oczyścił, bo gdy ninie zamilczysz, to na wieki już będzie. Rozumiesz?

Pastuch tym razem kiwnął twierdząco.

Rybin pokiwał nerwowo głową i skinął na Radę.

— Jak cie zwą? — pierwszy zapytał Jeremo z Wielkiej Łąki.

Słowa odbiły się od wszystkich ścian i uleciały jedynym wyjściem na mroczny korytarz. Pastuch jednak tylko bujał się, ciężko łapiąc równowagę, jakby miał zaraz paść martwy na podłogę.

— Skąd pochodzisz, jak ród twój? — drugie pytanie rzucił starzec, który wystąpił jako obrońca.

Nadał cisza.

— Może niemy? Alboż słów naszych nie rozumie? — zauważył inny członek rady.
— Pewno Sas albo Niemiec. Na przeszpiegi tu przyszedł...

Pastuch nagle odchrząknął i łamliwym, skrzekliwym głosem, ku zaskoczeniu wszystkich wreszcie przemówił:

— Swego imienia nie mam, skąd przyszedłem też nie wiem...

Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni. Brak imienia był dla nich niezrozumiały i w ich mniemaniu powodował wykluczenie społeczne.

— Jak więc mówić do ciebie, skoroś bezimienny i znikąd? — zapytał Rybin.

— Tak jak mówisz do bydła, by ci z drogi schodziło... — odparł smutnie starzec.

— Dobry pastuch swe bydło czasem tak umiłuje, że i imię swym zwierzydom nada, by nawołać je sporze. Skoroś niżej od bydła, bez imienia i grodu, toś z północy tu przyszedł, gdzie tam same takowe.

Pastuch zamilkł i przecząco kiwnął głową.

— Czyżeś zmarły wśród zmarłych? Czyżeś żyw, jak powiadają? — zapytał kolejny członek rady Starszych.

¹⁹ Ninie — teraz (przyp. autora).

Pastuch kręcił głową na boki, jakby przerzucał wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

— Czyś jest żyw z Jawii, co do Nawii czarami się dostał? — ponowił pytanie Rybin.

— Mówże... nie igraj z nami! — wzburzył się ktoś z Rady.

— Nie wiem, panie, coż rzec, by wam prawdę powiedzieć. W głowie prócz ciemnej pustki nic innego nie staje. Jam jest znikąd, bez imion i juści! Jakby zmora porwała wszystkie myśli ze głowy i gdzieś w morze rzuciła, w najciemniejsze czeluści. Cóż tu szukam? Nie powiem, bom sam ciekaw niemało.

— Obłąkany! — zniecierpliwieni zaczęli przekrzykiwać się jeden przez drugiego. — Szpieg!

— Spokój! — głośniejsz rzucił Rybin, a do pastucha zniżonym głosem, wypowiedzianym jakby przez zęby dodał: — Mów, czyś żyw jest... Mów i nie miarkuj, bo jak skłamiesz, to sam cię zetnę mym mieczem, bo już mnie ręka ku temu świerzbic zaczyna. Skoro nic nie wiesz... czemuś mnie szukał? Skoroś umarły, czemuś w kapturze?

— Złego ja, panie, wam czynić nie chcę... Czemuż mnie w pęty pochwyciliście tedy? Wiem jeno, panie, że do Redarów i do Księcia Rybina zwrócić się miałem. Myślałem, że ty mi, panie, moją pamięć przywrócisz. Poznasz mnie jakoś i powiesz, co robić. Kaptura zaś zsunąć mi nie kazali, bym złego nie czynił, gdy wstąpię do waszych.

Rybin zdębiał, a Rada Starszych kolejny raz wydała pomruk wyrażający ogromne napięcie.

— Skoro w kapturze, to żyw jest i przyznał się! — krzyknął Jeremo. — Cóż więcej trza, by osądy wydać?

— Prawda to. Z Jawii on! Ukarać trza! — zawtórował inny.

— Spokój! Cisza! — uciszył znowu rozkrzyczane towarzystwo Rybin. — A któż to ci kazał wszystko co skrzętne czynić?

Pastuch milczał chwilę, jakby szukając odpowiedzi gdzieś w odmętach pamięci.

— Chyba... Bonifacy... — wysapał wreszcie.

— Bonifacy? Nie znam takiego... — zdziwił się Rybin.

Członkowie Rady Starszych również spojrzeli po sobie, jakby w oczekiwaniu, że któremuś z nich wypowiedziane imię wyda się znajome. Żaden jednak nie przemówił.

— Nikt tu z zebranych takiego nie zna... Gdzież więc go szukać, człowieku z Jawii?

— Panie! — stanowczy, lecz drżący głos dobiegł zza pleców Rybina.

Ten obejrzał się. Spośród modlących się kapłanów wyszedł poruszony i blady jak ściana Bożysław. Rybin skinął głową, dając mu mówić.

— Ja wiem, gdzie szukać Bonifacego.

— Czem prędzej powiadaj...

— Gdy w modłach swych wznoszę do Bogów wołania o słowa, bym natchnął Redarów rodziny, tom jeden głos poznał, co płynie z zaświatów i Bonifacym zwać się jął. Bez ciała to postać, lecz prawa i mądra, co między jawiami przenikać potrafi. Sam siebie strażnikiem Redarów osądził i po dziś w Jawii świątyni nam strzeże. By spotkać więc jego i spytać o zdanie, do Prawii nam udać się ostaje. Lecz nazbyt ja miernym wołchwem sam jestem, bo nie wiem, acz jaki z kapłanów uczynić to umie.

Dotychczasowe pomruki wydawane przez Radę były niczym w porównaniu z tym, co teraz wydobyło się z ich pojedynczych gardeł. Osłupienie trwało dobrą chwilę, zanim dało się słyszeć szepty, w których jak mantra przewijało się jedno określenie: „Wołchw”.